

BOHDAN DROZDOWSKI

DIDASKALIA

PRETENDENCI

Iredyński znowu napisał coś do grania. Tak się mówi, kiedy w mieście pojawia się kolejny afisz Teatru Polskiego. Ale tym razem nie jest to coś do grania, tylko do gadania. Misiorny w „Trybunie Ludu” powiada, że jest to „sztuka konwersacyjna”. W porządku. Znamy wiele „sztuk konwersacyjnych”, w których nie ma akcji, nie ma intrygi, nie ma tempa, o wszystkim się mówi, opowiada, relacjonuje wydarzenia zachodzące za sceną. Jedne z nich są nudne, inne fascynujące. Klasykiem „sztuki konwersacyjnej” był słynny film „Dwunastu gniewnych ludzi”: wychodzili najwyżej do WC, mimo to trzymali w napięciu widownię całego świata. Iredyński ma reputację człowieka, który wie, jak się robi dialog. Ma kilka tekstów, które można uznać za klasyczne pozycje teatru współczesnego, z „Jasełkami Moderne” na czele. Ale „Jasełka” wsparte zostały o kapitalny pomysł. „Terrorysty” pomysłu nie mają. „Terrorysty” (tytuł świadomie „mówiący” co innego, niż to słowo niesie w znaczeniu potocznym) biorąc za punkt wyjścia pospolite dziś w świecie ruchy społeczne stawiające sobie za cel obalenie rozmaitych opresyjnych reżymów, przy czym autor zakłada, nie bez licznych podstaw, że ci, którzy pragną obalić istniejące establishmenty, nie obiecują alternatywy merytorycznie różnej w metodach sprawowania władzy; obiecują natomiast samo jej zastąpienie. Kapuściński powiada, że przyglądał się w ciągu dwudziestu lat dwudziestu siedmiu rewolucjom, a pani Zaworska (w „Twórcyści”) dodaje ze smutkiem, że musiały to być rewolucje daremne, nie spełniające nadziei mas. Władza bowiem, jest to pogląd tyfoidalny, co zasadny, rządzi się własnymi prawidłami, które z prawem mają tyle wspólnego, co jej siła wymuszająca posłuszeństwo wobec ustalonych przez nią praw. Nasz świat, skomputeryzowany świat, pozostawia coraz mniej swobody jednostce, która też brzmi coraz mniej dumnie, w miarę gromadzenia w archiwach policji „danych” o każdym kroku człowieka. Nie jest przecież tajemnicą, że wszystkie systemy państwowe bronią się przed wszelkiego rodzaju „wywrotowcami” poprzez gromadzenie o nich informacji, do wykorzystania natychmiastowego, kiedy „zajdzie potrzeba”, bez ratunku dla jednostki. Wszystkie tzw. „wielkie demokracje” Zachodu, że to kraje najwyżej rozwinięte technologicznie, wiedzą w tym dziele prym od lat. Pisałem przed piętnastu już laty o skandalu, jaki wybuchł na Wyspach Brytyjskich, kiedy studenci wyższych uczelni wykryli w archiwach dziekanatów tzw. „political files” – teckich zachowań politycznych studentów i pracowników sztuki. Strajki wybuchły we wszystkich prawie uczelniach, bo to był, dla demokratycznie chowanych Brytyjczyków, szok. Dziś czytamy o przejęciu pałeczki przez zachodnio-niemiecką policję – BKA (Bundeskriminalamt), która zgromadziła w swoich komputerach dokładnie wszystko o każdym, kto budzi najmniejsze zastrzeżenia, nawet nie podejrzania! Bez stanu wojennego podsłuchuje się rozmowy telefoniczne, czyta listy, kompletuje kontakty, wypowiadzi, wyjaździ, wizyty w myśl zasady, że „każdy jest podejrzany”. Amerykańska FBI nie pozostaje w tyle, a sądząc po postępach polskiej elektroniki – można wnosić, że nasze służby bezpieczeństwa nadrobiły zacofanie i także nikt już nie jest dla nich tajemnicą. Można się zżymać na to wszystko, ale się przed tym nie da uciec. Suma dzielących narody konfliktów wewnętrznych nie zapowiada odstąpienia od tych metod, a zasadniczy podział świata na potężne bloki polityczne, o interesach doskonale sprzecznych, wyklucza jakąkolwiek w tej materii liberalizację. Historia uczy, że reżymy można zmieniać, admi-

nistrację można trzebić i „odnawiać”, nigdy wszak zmiany zbyt rewolucyjne nie dotyczą policji, wywiadów, kontrwywiadów, ponieważ ich „dorobek” okazuje się przydatny każdemu kolejnym ekipom zawsze i wszędzie. Dlatego pomstowanie na „fatalizm” widzenia kolejnego dramaturga, który się porywa na temat „walki o władzę” nie ma sensu. Ta walka w każdym czasie i miejscu skazana jest na pewne posunięcia rudymentarne, rutynowe, jak w szachach. Wiadomo, jakie są odpowiedzi na gambit królewski a jakie na gambit hetmański, jaki jest możliwy wynik przy końcówce z przeciwnymi gońcami i jaki przy końcówce z wieżami i koniem. Machiavelli dawno temu opracował genialny podręcznik sprawowania władzy, którego regułami posługują się nawet tacy, którzy go nigdy nie mieli w ręku. Szekspir, któremu przypisują totalną znajomość reguł gry w walce o władzę, był tylko, jak sądzę, jego uważnym czytelnikiem. Obaj uważali naturę ludzką za niezmienną, a za dwa główne motywy ludzkich poczynań – żądzę znaczenia (bogactwa) i władzy. Ponieważ nikt nie oddaje władzy dobrowolnie – leje się krew, ludzie cierpią. I bywało w historii, bywa i będzie tak w przyszłości, że ci, którzy obiecują zmiany, poprawę na lepsze etc. okazują się w końcu gorsi od poprzedników, tzw. świat zaś, po jakichś taktycznych fochach, uznaje nowe reżymy i wchodzi z nimi w układy. W naszym czasie przecież „świat” (ten „wolny”!) uznał ludobójczą bandę Pol-Pota, która wymordowała jedną trzecią ludności własnego kraju, za „demokratyczną koalicję” z chwilą, kiedy się do niej przyłączył nieszczesny pająk Sihanouk – jakoby dlatego, że Kampuczej zajęły wojska wietnamskie. A przecież „Czerwoni Khmerowie”, walcząc z poprzednim reżymem, obiecywali niemal raj równości i sprawiedliwości i wszyscy byliśmy po ich stronie! To samo można powiedzieć o sytuacji w Iranie. Stalowy, zdawało się, modernizujący kraj, reżym Szacha – upadł jak domek z kart pod ciosami jednego mnicha, którego późniejsze rządy miały sprowadzić na ten kraj reżym stokroć surowszy i bardziej bezwzględny w walce z opozycją. Iredyński to wszystko zna i postanowił o tym pogawędzić z polską publicznością okresu stanu wojennego. Jest jakiś krawiec, oczywiście latynoski, którym rządzi jakiś straszny Robles, którego pragnie wykołać jakiś Numer Jeden, któremu świadczy usługi przewidujący rozwój wydarzeń Minister Roblesa, zapewniający sobie tyły poprzez udostępnienie swojej rezydencji na kwatery Numeru Pierwszego, przyszłego Ojca Narodu... Numer Pierwszy ma przy sobie Numer Siedem, chłopaczka idealistę, który wierzy w słowa i którego rozczarowuje pierwszy czyn Numeru Pierwszego – mianowicie sprowokowanie Roblesa do zabójstwa pary dziennikarzy, którzy robili wywiad z Numerem Pierwszym. Bo takie zabójstwo to skandal o rozgłosie światowym, podważa reputację Roblesa i daje atuty w ręce Rewolucji. Oczywiście, Numer Siedem kocha się w dziennikarce, która zrobiła rozmowę z Numerem Pierwszym i dlatego usiłuje zadusić Numer Jedym struną od fortepianu, nie wiedząc, że wszystko było piętrową prowokacją: Minister „nadał” Numerowi Siedem sprawę z zabójstwem, żeby w ten sposób sprawdzić jego lojalność wobec Numeru Pierwszego i Rewolucji, eo ipso. I Numer Siedem ginie podczas próby zamachu, od strzału w plecy. Jest więc jakaś intryga szcztatkowa. Iredyński nanizal na nią tasemcowe dialogi, pełne dosyć płaskich dykteryjek, obiegowych dowcipów o władzy, która się rozczarowała do swego ludu i cytatów z pewnej pozytywnej, zaprzężonej gazety, w której można wyczytać, że każdy ma prawo do własnego zdania, pod



Janusz Zakrzeński – Numer Jeden i Andrzej Szczepkowski – Minister

Fot. Antoni Zdebiak

warunkiem, że to będzie zdanie konstruktywne, albowiem wieloświatopoglądowość to zwykły balagan i brak pryncypialności. Tak się składa, że podobne sądy nie są przestarzałe, obiegają rozmaite gazety, nadają się więc w Polsce do satyry i Iredyński robi z nich satyrę, co publiczność wychwytuje bezbłędnie, zdrowym śmiechem i bravami, jakby odnosiła to do obyczajów i zdarzeń jej bliskich. Rzecz atoli w tym, że na tym się kończą walory sztuki pełnej innych strasznych komunalów, szemranych sentencji, płaskich dowcipasów, typowych wulgaryzmów i okropieństw rodem z tandetnego „teatru okrucieństwa” (te genitalia obcięte wrogowi i wepchnięte w jego usta ku... zainteresowaniu kobiet) albo z rynsztoka: „Prawdziwi rewolucjonści powinni lubić kobiety, które zerzeli”. Tu następuje pauza, po której Janusz Zakrzeński Numer Jeden wstawia kontrę: „Oczywiście, to mąskyma dla idiotów”. Rzeczywiście! Inna sentencja: „Artyści będą mogli tworzyć jak zechcą, byle wspierali dzieło rewolucji” powiada Numer Jeden, na co Minister: „To najpierw obetnijcie im ją”. Marta Schwartz, dziennikarka, której wprowadzenie pozwala Iredyńskiemu na wystawienie kompletnego poglądów przyszłego Ojca Narodu, zwraca się do niego czule per „ty skur...synu”, „do kur... nędzy” itp., co w wykonaniu Haliny Mikołajskiej brzmi awangardowo, choć aktorka tym razem gra swój własny mikrofon, nie siląc się na nic poza tym. Po prostu jest na scenie, słucha, zadaje pytania, klnie i nosi perukę, która ma ją tak odmłodzić, żeby się w niej mógł śmiertelnie zakochać kompletnie drewniany młodzik – Numer Siedem. Marek Barbasiewicz ma to drewno ożywić, więc ożywia jak umie. Krzyczy, biega, siada na antycznym fotelu w poprzek, z nogą przez poręcz, bo jest ideowym nonkonformistą, przewidzianym na stanowisko ministra kultury w rządzie przyszłego Ojca Narodu. Który jest szmaciany nawet wtedy, kiedy powiada, że tylko cel różni go od reżymu Roblesa, i że wszystko, co służy rewolucji, jest – moralne. Oczywiście! Moralność to produkt gumowy, można z niej zrobić prezerwatywę albo pałkę policyjną, uszczelkę do weku i gumkę-myszkę do wycierania zapisków na marginesie „Kapitału”...

Jeżeli reżyser Jan Bratkowski z rozmysłem obsadził Zakrzeńskiego w roli Numeru Jeden, to ja ten zamysł rozumiem. Jeżeli emploi tego aktora odpowiadało zamysłowi tej „postaci” to mogę się zgodzić z Misiornym, że jest to rola „przekonująca w wyrazie i najkonsekwentniej opracowana”, to znaczy miálka, rozlaźla, odstręczająca nie tylko w tym co postać mówi, ale jak mówi. Zakrzeński gra jak potrafi... no, jak sobie wyobraża wodza partyzantów w Południowej Ameryce, rezydującego wśród antycznych mebli i modernistycznego malarstwa. Ale jeżeli Misiorny naprawdę wierzy, że Za-

krzeński gra dobrze jako profesjonalista, to ja się powinienem zająć hodowlą kurcząt, zamiast się zdradzać z moimi sądami o sztuce napisanej przez pisarza, którego nieraz w życiu broniełem przed atakami lewackich hunwejbínów, cyników i karierowiczów, co to mieli mu za złe głównie jego cynizm. W tej sztuce nie ma co grać, więc aktorzy nie grają, są tacy, jakimi ich Pan Bóg stworzył. Mogę tylko, powtórzę, założyć, że takimi chciał ich mieć Bratkowski. Gdyby te wszystkie płaskie frazesy oddziały w tzw. prawdziwe aktorstwo – byłaby to mordercza satyra na samego autora i na sam temat „władzy”, który przecież doczekał się w dziejach dramatu światowego i polskiego ujęć nieporównanie głębszych. Misiorny przywołuje przy Numerze Siódmym Barbasiewicza – Leonarda z Nie-Boskiej Komedii... To już jest salonowa elegancja! Boże, jaką my tu w Warszawie mamy elegancką krytykę! Tu się nie recenzuje dzieł, ale ludzi. Nie uchodzi napisać, że autor jednej dobrej książki napisał drugą na poziomie kłota, owija się więc dusery w komplimenty, a delikatnie formułowane zastrzeżenia w przypomnienia dawnych zwycięstw. Nie uchodzi dobremu aktorowi, który ma swoje miejsce w teatrze, powiedzieć, że jest niezdolny i marny w nowym wcieleniu, a już kiedy jest wciągnięty w tryby jakiejś „polityki”, milej widowni, widownia robi recenzję sama, natychmiast, biorąc blichtrz jakiegos „celniejszego” zdanka za sukces, kolejny, aktora. Sytuacja wspiera i sytuacja niweczy. Kiedyś operetkowym diwom wyprzegano konie z dorożek i ciągnięto je hurmem, ku sławie, „perłom i brylantom”, dziś przekuwają aktorom opony samochodów, albo im te samochody, jak słyszysz, demolują. To jest także rodzaj recenzji... Ludzie wewnętrznie rozdarci, połamani i chyba nienawidzący swego rozdarcia i potłamania – żądają od osób publicznych pełnej tożsamości – nawet powtarzane przez nich, cudzego (jak u aktorów) słowa, z ich bytem prywatnym. Jest to poszukiwanie oparcia na grzęzawisku współczesności i to jest, w końcu, zrozumiałe, niestety.

A sama esencja wszystkich czasów i miejsc na mapie – walka o władzę, o „rząd dusz” i ciał, schodzi między tanie licznymi, fobie, urazy, doraźności. Sztuka w Polsce traktowana była zbyt często utylitarnie, służebnie, także przez te „masy”, które prywatnie wyobrażają sobie, że mają poglądy przeciwstawne do poglądów wszystkich Numerów Pierwszych, Ojców Narodu, co wychodzą z założenia, że wszystkim artystom trzeba dać możność wyrażania poglądów pod warunkiem, że ich dzieło będzie wspierać rewolucję...

To przekłete koło nigdy nie zostanie rozcięte. Ono się będzie toczyć i miażdżyć na drodze w każdym zagłębieniu swojej fatalistycznej koleiny wszystkich nieostrożnych, którym się roi, że można je wykołać.